NUMER 45. DNIA 5. LISTOPADA 1905 ROKU. ROK XIII.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

WŁADYSŁAW ORKAN.

Mistyk-dzierżawca.

Na tych przestrzeniach duszy, któremi łaskawie
3óg, Pan mój władny, raczył mię obdarzyć,
Va tej, mówię, od Boga przyjętej dzierżawie
'acząłem z młodu wcześnie gospodarzyć.

'acząłem, jak poeta... Tam, gdzie wzgórza płaskie,
'adziłem cudne drzewa i kwiaty nienaskie,
: na piaskach, gdzie żadne nie rosną zielenie,
iałem skry, perły i drogie kamienie.

'ierzyłem, że urosną — za sto wrócą krocie,
spłacę panu memu czynsz słuszny z dzierżawy,
sobie ubezpieczę godne dożywocie,
ako ów włodarz prawy.

I przeróżnemi dziwy, kwiaty, drzewy
Obsiewałem przestrzenie puste mojej duszy,
Uśmiechami suszyłem je podczas ulewy,
Łzami-m je zlewał gęsto podczas suszy.

Darmo! Poznałem, że się w tych czasach nie darzy
Nic — nawet i na wierzbie nie chcą róść czereśnie.
I dziś już doświadczenie ze mną gospodarzy,
Całkiem współcześnie...

Jałowe pola mej bogatej duszy
Gęsto obcemi śmieciami nawożę,
Wodę w nie sączę sztucznie podczas suszy,
Sadzę kapustę, groch i sieję zboże...

Sto złotych rocznie mam za wodę, za staw —
Plonami, jak włoch jarzyną, handluję —
Co nieużyte z pól mych — daję w zastaw,
Co użyteczne — parceluję“.

1 i 2 listopada 1848 we Lwowie.

Wobec tego, że dotychczasowa literatura nie yświetla całkowicie mnóstwa faktów, tyczących się ımiętnej bombardacji Lwowa w roku 1848, głównie powodu niedostateczności materjałów, znaczna ich)wiem część zniszczała wskutek pożaru ratusza, mierzam podać kilka szczegółów, zaczerpniętych aktów sądowych owoczesnych, a znajdujących się)ecnie w pokaźnej liczbie 12 foljałów w Archiwum ajowem, by rzucić trochę światła na ówczesne)sunki i powody drakońskiej kary, jaką Lwów niósł w dniach 1 i 2 listopada.

Wzmagająca się po pierwszych zwycięstwach rewolucji reakcja wojskowa uczyniła katastrofę nieuniknioną. Każdy dzień przynosił coś nowego. D. 17 września obchodzono bardzo uroczyście, jako rocznicę oswobodzenia Wiednia, iluminacjami, pochodami, serenadami jak n. p. przed kamienicą Ponińskich, festynem i balem; lecz porządku nigdzie nie zakłócono.

Zresztą wrzesień minął bez większego wypadku, bo zrywanie emblematów austrjackich i oznak mundurowych przez grenadjerów, przemienionych obecnie w gwardzistów narodowych w czasie jakiejś pijatyki na św. Michała, nie wiele rzuca nowego światła na te wypadki.

Wieść o 6 październiku we Wiedniu, rozeszła się po Lwowie szybko, wywołując ogólną radość i różne demonstracje, jak n. p. spalenie portretu, Latoura, a co najważniejsze, spowodowała Wydział miejski do jawnego zadokumentowania swych rewolucyjnych tendencji,, przez napisanie i ogłoszenie drukiem odezwy do wiedeńskiego sejmu z 24 października, w której jawnie solidaryzuje się ze zrewolucjonizowanymi Wiedeńczykami, obiecując im poparcie ze strony mieszkańców Lwowa, w imię wolności.

Naturalnie, że wobec tak jawnego wyznania swych zapatrywań ze strony władz miejskich, komenderujący upatrywał tylko chwili, kiedyby mógł pójść śladami Windischgrätza.

Dzień Wszystkich Świętych zastał Lwów pod wpływem świeżych pogłosek o rzezi, jaka się miała dokonać w Samborze z powodu ucieczki szwadronu huzarów Cobourga i chwytania ich przez chłopów. Opinja tymi wypadkami była tak dalece wzburzoną, że gubernator Zaleski dla jej uspokojenia, wysłał na miejsce wypadku Darowskiego, któryby ze strony miasta zbadał całą sprawę i pogłoskom położył kres.

Mimo przerwanej z końcem października komunikacji z Wiedniem, tego dnia rano przyszła wiadomość, niestety fałszywa, o świetnem zwycięstwie Wiedeńczyków, o czem zawiadomiono publiczność przez wywieszenie kartki w cukierni Pasynkowskiego, która jednakże długo tam nie wisiała, bo ją z rozkazu władz usunięto.

W południe d. 1-go z powodu , że kilku uliczników rzuciło kamieniem w kierunku arsenału, przyczem nikt żadnej szkody nie poniósł, powiększono tam znacznie straż, wietrząc jakiś napad, co więcej, jeszcze rano nie pozwolono podporucznikowi Reichlowi, przedtem straż trzymającemu, stanowiska tego opuścić, obawiając się już wtedy jakichś wypadków.

Koło 6-ej wieczorem wybuchły dość poważne rozruchy, z niewiadomych przyczyn, w sztabowem więzieniu, co zalterowało i tak już niespokojne władze, a w dobrą godzinę potem wybuchła sprzeczka i bitka między gwardzistami a artylerzystami, która dała powód już bezpośrednio do następnych wypadków.

Rannego w tej sprawie Nawrockiego przeniesiono na strażnicę gwardji w Rynku, dokąd nieco przedtem przyprowadzono jakiegoś chłopa, przedstawiającego się za posła na sejm i prawiącego, że trzeba ostrzyć kosy na Polaków.

Wieść o ranieniu gwardzisty rozeszła się bardzo szybko, tłumy poczęły się zbierać, żądając, wobec dość częstych tego rodzaju wypadków, po ciągnięcia do odpowiedzialności winnych. Groz chwili podniosło przybycie ks. Czajkowskiego z wi jatykiem pod baldachimem.

Wobec tego zbiegowiska, poczęły się zbiera kompanje gwardji narodowej, każda koło mieszka nia swego komendanta, by w razie potrzeby, wsze kim zaburzeniom przeciwdziałać.

Również i oficerowie bez wyższego rozkaz słysząc o zaburzeniach w mieście, poczęli form wać wojsko w koszarach *).

Tymczasem zebrał się Wydział bezpieczeństw i uchwalił wysłać deputację do Hammersteina z ż daniem ukarania winnych artylerzystów. Komend rujący wysłał deputację do dowódzcy artylerji, po pułkownika Elbensteina, który odprawił deputac szorstką odpowiedzią, by do jutra zaczekali. G jednak przyszła wkrótce druga deputacja z mias a Hammerstein ze swej strony jej żądania popa przeprowadzono rewizję w koszarach, szukaj sprawców napadu, których naturalnie nie znalezion

Skutek tego był tylko taki, że Elbenstein, pr straszony energicznem wystąpieniem deputacji a nad dowiedziawszy się od wysłanych patroli, że ukaza się gwardja narodowa tuż pod koszarami, na Fr ciszkańskim placu, rzecz bowiem cała działa w t. zw. „Czerwonym klasztorze“, a widząc w t oczywistą chęć ze strony gwardji napadu na kosza dla zrobienia sobie sprawiedliwości, nakazał d trzy alarmowe strzały. Na to hasło wyruszyło w sko ze swych koszar na place alarmowe, „un Hurra und Vivatrufen, schlagfertig und kampf rüstet“, jak to opisuje Koch.

Nie wszystkie jednak oddziały czekały aż strzały alarmowe. I tak major Wusin, którego dział stał w barakach janowskich, gdy dowiedz się, będąc w mieście, o zaszłych wypadkach, si do dorożki, ostrzegł po drodze koszary Ferdynan a przyjechawszy do swego oddziału, jak sam wiada: „ungeachtet ich keinen Allarmschuss geh hatte, so begab ich mich auf meinen Allarmpla koło św. Anny, — choć było całkiem spokoj „und es rührte sich keine Seele“, a więc nie b potrzeby uciekać się do takich ostatecznych śr ków. Ten jeden więc fakt mógłby świadczyć o t że cały plan bombardowania Lwowa i zaprowad nie stanu oblężenia był z góry uplanowany.

W rynku tymczasem począł się wszczy coraz większy ruch, lud począł przybierać gro postawę wobec wojska, zajmującego główny odw

*) Zeznania por. Kocha.

w rynku, a to z dwu powodów, raz, że podburzali go do tego różni przygodni mowcy, rekrutujący się przeważnie z emigracji, a powtóre sprowokowany wyzywającem zachowaniem się tego oddziału, który zgromadzonych lżył, o czem zeznawał Bietkowski, b. oficer 31 p., zajęty wtedy w sztabie gwardji, tak, że on musiał wezwać oficera tego oddziału, by swych podwładnych powściągnął.

Również zaczęła ściągać gwardja, zajmując różne stanowiska w Rynku u wylotu ulic, nie puszczając wojskowych, a nawet aresztując niektórych, jak to się stało z kapitanem sztabowym Heimerlem, którego dopiero za interwencją Wybranowskiego wypuszczono z odwachu, i jednym wachmistrzem swoleżerów, którego jednak również zaraz wypuszczono, zraniwszy go poprzednio przy aresztowaniu. Sklepy żelazne, głównie były strzeżone przez gwardję, z obawy, by motłoch ich nie rozbił i nie zabrał stamtąd żelaziwa. Co do zbrojenia się, to i tak poczęto czynić pewne przygotowania w tym kierunku. Widząc otaczające zewsząd rynek wojska, zaczęły się pojawiać pojedyńczo indywidua uzbrojone w pistolety, strzelby itp., a nawet pod kierunkiem chórzysty teatralnego Sellingera, wzięto z rekwizytarni teatralnej trochę broni, która chyba mogła być dobrą do robienia hałasu na scenie, lecz do użytku, jaki teraz chciano z niej zrobić, nie bardzo się nadawała.

Gdy to się w rynku dzieje, wojsko wyprowadzone z koszar na sygnał alarmowy, otacza silnym pierścieniem ze wszech stron śródmieście, co powiększa tylko wrzenie w rynku.

Wtem, stojący na Halickim oddział grenadjerów, dał nagle salwę. Przyczyną tego kroku ze strony wojska w spokojnem jeszcze mieście, był, jak jedni twierdzą, chłopak, niosący drąg żelazny, inni, między nimi dowódzca tego oddziału major Marini, twierdzą, że to był przypadkowy wystrzał jednego żołnierza, a inni poszli zaraz za jego przykładem i wypalili dla uciechy i animuszu, a sumarjusz sądowy całej sprawy, zwala winę wystrzału na jakiegoś bliżej nieznanego jeźdzca, który w pełnym galopie nadjechał, i mimo nawoływań wojska, nie chciał się zatrzymać, wobec czego jeden żołnierz wystrzelił za nim, a reszta oddziału miała wystrzelić w powietrze.

Salwa ta jednak, z jakiegokolwiek bądź ona pochodziła powodu, wznieciła olbrzymie zamieszanie w Rynku, z okrzykiem „do broni“, rzucono się zaraz do budowania ,,ołtarzów wolności“ — barykad.

Lud bowiem, zgromadzony w rynku, nie wiedząc, co znaczą te strzały, widząc się nadto otoczonym ze wszech stron wojskiem, które chyba nie w celach pokojowych wystąpiło z koszar, a mając w pamięci niedawne wypadki w Krakowie i Pradze, rzucił się prawie, że instynktownie, do budowania, tak będących wówczas w modzie, barykad — by oczekiwać, ale z bronią w ręku i pod jaką taką zasłoną wszelkich ewentualności.

Do tego przyczyniły się też niemało i nawoływania emigrantów, świadków użyteczności barykad w rewolucji paryskiej i brukselskiej, — a którzy chcieli spróbować ich skutków i we Lwowie.

Barykady więc wzrastały szybko z materjałów, jakie miano pod ręką, a mianowicie z kamieni brukowych i różnych sprzętów, wyrzuconych z okolicznych domów.

Ogółem miano ich wybudować tego wieczora 38; a z nich największe były koło ul. Ormiańskiej i w okolicy Akademji, a nadto barykada od ul. Halickiej, zresztą wystawiono je wszędzie, we wszystkich ulicach, prowadzących do Rynku.

Wówczas to Wybranowski, widząc, że gwardja nie zbyt skutecznie przeciwdziała budowaniu barykad, począł pertraktować z komenderującym o cofnięcie wojska, a w zamian za to ofiarowywał zupełne uspokojenie miasta, przez rozebranie barykad i rozejście się wszystkich z rynku do domu.

W tem jednakże napotkał trudności, bo Hammerstein postawił ultimatum wręcz przeciwne, żądał bowiem przedewszystkiem uspokojenia miasta i rozejścia się wszystkich do domów, a potem dopiero obiecywał cofnąć wojsko.

(Dok. nast.)

Bronisław Pawłowski.

MARJA BARTUS.

Dziennik nauczycielki wiejskiej.

(Dokończenie.)

A ja chciałam — rzekłam na to niezrażona— prosić księdza proboszcza o pomoc w tym względzie, powaga duchownego jest zawsze wyrocznią dla ludu, więc gdyby im ksiądz zgromadzanie się podobne polecił... I owszem — odpowiedział uparcie — przyrzekam pani to, ale aż po wakacjach.

Nie wiem, co o tem sądzić, lecz nie zdaje mi się to być dowodem dobrych chęci, odwlekać do

wakacji, bo się spodziewa, że wtedy mnie już tu nie będzie a zatem i zamiar spełznie na niczem.

Cóż zatem robić, czyż na własną rękę działać mogę? Tak zewsząd związana i tak jeszcze w tych rzeczach niedoświadczona, a jednak myśl ta nie daje mi spokoju we dnie, ni w nocy, czuję jej zbawienność, pragnę całą duszą w czyn ją zamienić, ale jak?... jak?...

Dzisiaj przyszła mi myśl piękna i jak się na razie zdaje, nie tak trudna do urzeczywistnienia. Wyszłam na przechadzkę i młoda wiejska dziewczyna była mi w niej przewodniczką; rozmawiając z nią wiele, dowiedziałam się, że całą zimę prawie przędą. Mam dziwny pociąg do tej pięknej roboty, więc prosiłam ją, czyby mnie prząść nie nauczyła? O! czemu nie! — odpowiedziała. — W zimie, jeżeli pani pozwoli, to możemy przychodzić do pani z kądzielą. Myśl ta uderzyła mnie. Gdyby je tak zgromadzać u siebie na przędzenie, a z tego czasu skorzystać, opowiadając im w formie legend i powieści dzieje narodowe i bawiąc niejako, uczyć powinności kobiet chrześcijańsko-polskich, ażeby później dzieci swoje podobnie wychowały.

Myśl to nie narzucona.. moja... moja własna i cieszę się nią, jak znalezionym skarbem, gdybyż można ją szczęśliwie i umiejętnie w życie wprowadzić, umieć je zachęcić, pociągnąć ku sobie i naukę uczynić tak miłą i przystępną, aby się zdawała tylko przyjemnością i zabawą.

Boże! Tyś mnie natchnął! Ty i nauczysz, co i jak mam czynić!

---

17. Lipiec 1879.

Lenistwa mego i słabości woli dowiodłam znowu, więcej, niż miesiąc nie zaglądając wcale do mego dziennika, chociaż przez ten czas wiele zaszło rzeczy godnych zanotowania i wiele przez głowę przebiegło myśli dziś już zapomnianych.

Źle! trzeba się poprawić, bo rumienić się muszę, gdy przeczytam wszystkie własną tu ręką kreślone uwagi i postanowienia. Wszak tak niedługi przeciąg czasu dzieli mnie od chwili, w której to pisałam pełna zapału, siły moralnej i nadziei. Skądże to zniechęcenie, ten upadek ducha i jakieś znużenie i znudzenie, które odbiera mi chęć do wszystkiego?

Pocieszam się myślą, że to stan przejściowy, spowodowany nagłem przerwaniem pracy szkolnej z powodu wakacji a także nieco tem większą teraz monotonnością mego prawdziwie pustelniczego życia.

Czuję w sobie rozstrój ogromny i żadna myśl, żadne uczucie nie przychodzi przynieść mi w niem jakąkolwiek ulgę. Podwójnie tylko czuję całe błogosławieństwo pracy, co jedna, utrzymuje umysł i serce człowieka w zdrowiu, a najlepszym jest regulatorem życia i — wyobraźni.

Wprawdzie dla rozrywki i ulegając żądaniom matki, wybieram się do niej w odwiedziny, które zapewne potrwają kilka tygodni, ale prócz nadziei widzenia się z matką i jakiegoś roztargnienia w podróży, nie przedstawia mi to nic ponętnego. Przeciwnie! widok stron, gdzie mnie przywitają najboleśniejsze wspomnienia, gdzie się przebyło najcięższe chwile życia, które na niem do dziś jeszcze piętno swoje zostawiły, może być tylko przykrym niewypowiedzianie, rozraniając na nowo przygojone już rany.

Ale taki mój los, nie marzyć nigdy o szczęściu, iść tylko drogą obowiązku, która wiedzie przez pustynię piasczystą, pustą, skwarną, głuchą.... aż do kresu, którym będzie równie pusty i milczący — grób.

Żal mi opuszczać Sokolniki, przywiązałam się do nich, polubił mnie lud tutejszy, pokochały dzieci, tem więcej, że z powodu dłuższej choroby nauczyciela musiałam zająć się wszystkiemi klasami, a stąd zaznajomiłam się z większą ich gromadką, co mi pod każdym względem wyszło na dobre, bo pominąwszy praktykę szkolną, niekrępowana w działaniu mogłam w tym światku poruszać się swobodnie i ucząc, zarazem uczyć się sama sztuki trafienia do pojęcia i serc dzieci, a oraz wielu, wielu innych rzeczy, których dzieci, nie wiedząc o tem, uczą często swych nauczycieli.

Odkryłam pomiędzy niemi kilka prawdziwych talentów, a chęć do nauki wogóle większą, jak to zwykło zdarzać się po miastach, zwłaszcza jeden chłopczyk z klasy 3-ciej, trzynastoletni, o rozumnych oczach, pociągłej, inteligentnej wyrazem swoim twarzy, zwrócił moją uwagę równie talentami, jak chęcią do nauki, z którymi w zgodzie szły wzorowa pilność i nienaganne obyczaje. Później dowiedziałam się, że jest to syn tegoż samego byłego wójta, który przy pierwszem widzeniu tak dobre na mnie zrobił wrażenie; słusznie mówią, że niedaleko jabłko od jabłoni pada.

Miałam zamiar prosić ojca na egzamin, przedstawić mu w właściwem świetle zdolności i chęć do nauki syna, radząc, aby jako majętny gospodarz i mający tylko tego jedynaka, posłał go do szkół wyższych. Lecz, gdy głębiej nad tem pomyślałam, gdy mi stanął przed oczyma los wszystkich

męczenników nauki, gdy rozważyłam o ile jeszcze cięższy w takich warunkach jest los człowieka, wyrzuconego z kolei zwykłej, pracowitego a najszczęśliwszego życia wieśniaka, aby później, stanąwszy na granicy dwóch światów, nie wiedział, do którego należy i żałował może za późno za... utraconym rajem. Nie miałam odwagi przyłożyć ręki mojej do tego dzieła. Nie! —, niech tylko nauczy się kochać Boga i Ojczyznę, niech moralność jego oprze się na niezachwianym fundamencie wiary, myśl obejmie horyzont tylko tak obszerny, o ile to dla szczęścia jego jest potrzebnem, a dusza zrozumie i umiłuje pracę dla siebie i kraju w skromnym swoim zakresie, a zadanie nauczyciela wobec takiego ucznia będzie zupełnie spełnione i chyba byłby to już jakiś duch - orzeł, targający gwałtem wiążące go kajdany i dążący ku słońcu po jeden promień sądzonej mu sławy, ha! wtedy niegodziłoby się go więzić, bo cierpienie nieuniknione wynagrodziłby cel wyższy może, z dobrem współziomków związany, ale inaczej — nie!

Zagłębiając się w tych myślach, odrzuciłam powzięty zamiar, ale zato znalazłam temat do powieści, która może wkrótce ujrzy światło dzienne.

Z powodów już tu wspomnianych, będę, zdaje się, zmuszoną starać się o posadę inną, samoistną, być może, że ją otrzymam, a tak pogodzę materjalne i moralne wymagania życia, jednak Sokolniki i czas w nich spędzony, stanowić będą zawsze miłe dla mnie wspomnienie, jako chwilka życia pożytecznie i spokojnie spędzona.

Na ostatek skreślę tu sobie na pamiątkę obrazek wsi, domu, mego pokoju i sposobu życia.

Wieś rozległa, schludna, niezbyt obfitująca w urozmaicone widoki, mnie się jednak wydała piękną i miłą, bo odziana była szatą najświeższej majowej zieloności w chwili, gdy tu przybyłam. Dominuje w niej kościół murowany, stary, chylący się już ku ruinie, okolony wieńcem starych lip poważnych i cienistych, pod któremi, jakby u wejścia do wieczności, stanął na białej kolumnie kamiennej św. Piotr z księgą Bożą i kluczem niebios w ręce. O kilka kroków dalej wzniósł się budynek szkolny, ładny, duży stosunkowo dom, w guście szwajcarskim, z ganeczkiem, wzniesionym na kilku schodkach, nad którym wiejski artysta, myślący pięknie, mniej pięknie może wymalował oko Opatrzności, wielkie, błękitne, otoczone chmurami i promieniami, któremu ścisły estetyk miałby może nieco do zarzucenia, lecz ja, będąc profanką co do sztuki malarskiej, widząc tylko myśl rzeczywiście piękną, i nią się zadowalam.

Z ganeczku tego wchodzi się do sieni, z której na lewo wchód do sal szkolnych, na prawo do mego pokoju.

Pokój jasny, obszerny, o trzech szerokich oknach, czysto wybielony, jest w istocie bardzo miłem schronieniem po pracy, mieści on wszystkie moje skarby obok sprzętów niezbędnych, o których nie wspominam. I tak: biurko z papierami i rozpoczętemi pracami literackiemi pod oknem, skąd miły widok na mały stawek, otoczony brzozami i wierzbami i aleją podobnych drzew, wiodącą do wsi, dalej w rogu pokoju szafka z książkami, których mam już zbiór piękny, po większej części pochodzący z pamiątkowych darów, złożonych mi przez samychże autorów, co zwiększa ich wartość o drugie tyle, ile jej posiadają same. Nad szafką mieści się z wieńcem i palmą w ręce zwycięstwo, będące w mojem przekonaniu, symbolem ksiąg, złożonych w tej szafce, jako zwycięstwa ducha nad materją.

Koroną zaś wszystkiego jest biały ołtarzyk z firankami przeźroczystemi, na którym wśród kwiatów i wieńców, codzień mi znoszonych przez dzieci, płonie co sobotę różowa lampka przed obrazem Matki Boskiej. Białe, muślinowe firaneczki w oknach i dwa olejne portrety matki mojej i ojca, robione jego ręką, dopełniają urządzenia tego pokoju, w którym przeżyłam kilka chwil, nie powiem szczęśliwych, ale spokojnych, pierwszych chwil spokojnych, jakie od chwili urodzenia zdobyłam sobie! Byłam bowiem dotąd, jak zlękniony, zdyszany ptak, pędzony z miejsca na miejsce, który wreszcie przypadłszy do ciemnego kącika, odetchnął po raz pierwszy swobodniej, uwolniony od trwogi i widoku ludzi.

Nie czyni mnie to jednak wcale mizantropką, bo wszakże dla ludzi, a przeważnie dla ziomków moich chcę i będę pracować, ale... aby ich kochać, potrzebuję być od nich z daleka, w tem oddaleniu bowiem cnoty ich rosną, a błędy maleją równie, jak zaciera się pamięć i ból ran przez nich zadanych.

A zatem, kości rzucone — i... na zawsze!

Nad powierzonemi mi dziećmi pracowałam z wytrwałością i miłością. Mogę to śmiało wyznać memu dziennikowi, który jest zwierciadłem mego sumienia, to też egzamin, który odbył się w obecności księdza, nauczyciela i jeszcze kilku osób, bardzo uroczyście, wypadł zadowalająco, jak na tak krótki czas, w którym jestem tu nauczycielką. Przy pożegnaniu jednak z dziećmi, żal niewymowny ścisnął mnie za serce, żal, którego wakacje niczem nie są w stanie wynagrodzić, bo w wyjątkowem

mojem na świecie położeniu, praca ciężka jest szczęściem! Odpoczynek — męczarnią.

Dzień odjazdu się zbliża... a ja tak leniwie zabieram się do niego!... Tak mi żal opuścić moje ciche i milczące ściany!... Tak ciężko wrócić do ludzi, gdzie nie mam nikogo, gdzie mnie nic nie kocha... lub kocha miłością, której nigdy nie rozumiem! Ach! — a najczęściej jechać w te strony, gdzie oprócz matki, nie mam nic, prócz ciężkich pamiątek i świeżych jeszcze grobów!...

Taki mój los! — Drudzy spieszą w miesiące wakacyjne do kąpiel, do miejsc sławnych pięknością natury lub sztuki, po rozrywkę, po przyjemności, po wytchnienie, ja, na — cmentarz!

Lecz już wszystko do drogi gotowe, kończę skargi i żegnam Sokolniki serdecznem — do widzenia!...

. . . .

Sen i marzenia senne.

(Streszczenie odczytu wygłoszonego w Towarzystwie przyrodników polskich im. Kopernika.)

(Ciąg dalszy.)

Podobnych do wyżej przytoczonych przykładów, świadczących o istnieniu marzeń sennych u zwierząt ssących i o ich całkowitem podobieństwie do marzeń sennych ludzkich, mógłbym przytoczyć całe dziesiątki, ale spodziewam się, że każdy, co hodował psy, koty, konie, ptaki etc., sam osobiście obserwował najwyraźniejsze dowody, świadczące o istnieniu marzeń sennych u nich. Można też już dzisiaj z całą stanowczością twierdzić, że każde zwierzę ssące miewa marzenia senne, ściśle przystosowane do istoty swoich władz duchowych.

W czasie snu marzenia są nieprzerwanym dalszym ciągiem życia duchowego danego osobnika, bez udziału całkowitej świadomości jego, lecz tylko częściowej. Główna różnica pomiędzy wizją senną, a obrazami myśli w stanie obudzenia, zależy na tem, że organizm śpiący nie odbiera wcale, albo odbiera bardzo mało świeżych wrażeń, lecz przeważnie ma przed sobą wrażenia dawne, snujące się nieustannym łańcuchem przed jego intelektem. Wola jest po części nieczynna. Kalejdoskopowy bieg obrazów odbywa się bez kierownictwa woli. Obrazy myślowe, pozbawione przewodnika, spieszą jedne za drugiemi bez ładu — taką jest treść marzeń sennych. Podobny kołowrotowy bieg myśli i wrażeń czuciowych ma miejsce i w czasie czuwania; zamróżmy tylko oczy i przypatrujmy się chwilę jedną z uwagą obrazom, występującym np. na tle pola wzrokowego, spostrzeżemy tu bezład w obrazach i obfitość ich niesłychaną, żadnego z nich wszakże nie jesteśmy w stanie zatrzymać na dłużej, ażeby się jemu dokładniej przypatrzeć, gonią one jeden za drugim z pośpiechem szalonym. W perjodzie czuwania żaden z tych obrazów nie dociera do wrót naszej świadomości, one jakby nie istnieją dla niej, zajętej wrażeniami świeżemi. W czasie snu, gdy ład myśli i obrazów nie bywa kierowany wolą rozumną, niektóre z nich docierają do świadomości półsennej i wywołują to, co nazywamy marzeniem sennem. Każde zwierzę, mające organizm, wyposażony narządami zmysłowymi, marzy ciągle obrazami wzrokowymi, słuchowymi, węchowymi, czuciowymi, tak dobrze we śnie jak i w czasie czuwania, w tym ostatnim wypadku wrażenia świeże, jak już powiedziano uprzednio, zacierają i nie dopuszczają dawnych, gdy we śnie natomiast występują przeważnie dawne, a z tych znowu szczególniej te, które były najsilniejszemi, kojarzą się one ze sobą przed wpółsenną świadomością w najdziwaczniejszy najczęściej sposób, przez co powstają owe potworne zestawienia faktów, branych z przeszłości, z teraźniejszości i z rzekomej przyszłości, zestawienia takie urągają zwykle wszelkiej logice. Im bujniejsza bywa wyobraźnia danej osoby, im jej głowa była bardziej nabita w czasie czuwania myślami pewnego kierunku, tem silniejszemi będą marzenia na tle kierunku myślowego, uprawianego na jawie. Dziewicy katolickiej zjawiać się mogą we śnie oblubieńcy w postaci obrazów katolickich, niewieście buddyjskiej, w postaci buddyjskich. Wszystkie sny wogóle noszą na sobie zawsze ślady nieładu myślowego, który przez śpiącego bezwiednie usuwany bywa w chwili obudzenia się jego i przy rozpamiętywaniu snów, będąc już w pełnej świadomości. Gdybyśmy wyobrazili sobie artystę malarza, kreślącego przez sen krajobraz jaki, tobyśmy mieli w tym krajobrazie wzór niedokładności myśli i ich niedołęstwa, jakie panują zwykle w marzeniach sennych.

Streszczając w krótkich wyrazach główne fakty, poznane w zakresie badań nad snem u zwierząt kręgowych, podaję, co następuje:

1. Zw. kręgowe mają wszystkie te prawie rodzaje snu, jakie poznane zostały u zwierząt niższych,

a te rodzaje snu u nich nie różnią się od tamtych w swych cechach zasadniczych.

2. Zw. kręgowe miewają marzenia senne. Im mózg zwierzęcia jest bardziej rozwinięty, tem wyraźniejsze są marzenia senne i tem różnorodniejszą jest ich treść.

3. Wszystkie rodzaje snu są dzisiaj dziedzicznymi, one powstały i wytworzyły się pod wpływem czynników zewnętrznych, są podległe zmianom powolnym w różnych kierunkach, mogą być nawet modyfikowane i przeobrażane pod wpływem tresury wychowawczej.

Po tem pobieżnem rozpatrzeniu rodzajów snu u zwierząt i roślin, przejdziemy teraz po koleji do snu człowieka, stawiając tego ostatniego, jak się mu słusznie należy, na czele istot organicznych, z któremi wszakże połączony jest najściślejszymi krwi związkami. Rozważanie to nasze muszę jednak poprzedzić kilku uwagami koniecznemi, następującemi. Wiadomą jest rzeczą, że nad snem człowieka zastanawiali się przeważnie teologowie i filozofowie, kategorje uczonych, którzy już z samego tytułu zajęć swoich nie mieli najmniejszego pojęcia o przyrodzie, stąd też traktowali sen ze stanowiska zjawisk nadprzyrodzonych, otoczonych tajemniczością, nie dającą się objaśnić na drodze fizjologicznych dociekań; to stanowisko jednak zajęte w obec objawów snu człowieka, zostało ostatecznie pokonane w nauce, ale niestety po za nią wszystko trwa po dawnemu jeszcze.

Z chwilą, gdy antropologja, czyli nauka o człowieku, dowieść potrafiła z całą ścisłością, wymaganą przez wiedzę, że organizm ludzki wykształcił się drogą stopniowego przeobrażania z form niższych, w pełni zwierzęcych — jasną stało się rzeczą, że wszystkie objawy życiowe ustroju człowieczego, w istocie swojej zasadniczej nie różnią się wcale od zwierzęcych, więc ani trawienie i przyswajanie strawionych pokarmów, ani obieg krwi, ani oddychanie, ani wydzielanie, ani rozpłod, nie odbywają się w ciele człowieka według praw innych, niż w organizmie zwierzęcym, to samo ma miejsce i ze snem i marzeniami sennemi, to też i dla tych ostatnich wyjątku być nie może, jak się o tem już wspominało uprzednio. Jakkolwiek mózg człowieka w porównaniu ze zwierzęcym wydaje się być bardzo wielki i jakkolwiek czynności tego mózgu, czyli dusza ludzka, mianowicie u ludzi myślących, w porównaniu z duszą zwierzęcą jest wielce różną na oko, ale jak jedne tak i drugie, t. j. mózgi i dusze ludzkie i zwierzęce są względem siebie pochodzenia siostrzanego, one biorą początek ze wspólnego łona prarodzicielskiego. Że jedne z nich wzniosły się do wyżyn, których nie zdołały osiągnąć drugie, to nie daje żadnego prawa do uznania tamtych za coś nadprzyrodzonego, tajemniczego, boskiego, nieśmiertelnego, zaś tych, za coś poślednego, nikczemnego, doczesnego. Gdyby kiedy nastąpiły takie warunki życia, któreby zmusiły człowieka chodzić na czworakach i karmić się trawą, zmalałby najniezawodniej mózg jego, a zarazem i dusza i stałby się on, jak ów Nabuchodonazar z legendy izraelskiej, bydlęciem tępem, sierścią pokrytem. Tylko okolicznościom zewnętrznym, sprzyjającym rozwojowi organizmu w kierunku form człowieczych i form wyższych myślenia mamy do zawdzięczenia, że jesteśmy ludźmi i rozumnie myślącymi, a że nawet kiedyś i tłum niemyślący wznieść się potrafi na to stanowisko.

Spojrzawszy okiem bezstronnem na pretensje i uroszczenia teologów i filozofów, przy rozważaniu objawów życia duchowego u człowieka, występujących u niego czy to na jawie, czy we śnie, będziemy musieli je uznać za naiwne, dziecinne, stąd też, na zapytanie z ich ust wychodzące, skąd biorą się nasze widziadła senne, jaką jest ich geneza? jakim tajemniczym przekształceniom ulega duch ludzki w czasie snu ciała? odpowiedzieć możemy z całą stanowczością: Że geneza snów i źródła, skąd się biorą widziadła senne, są te same dla ludzi, jak i dla zwierząt. Jak w najwznioślejszych objawach czynności ducha człowieczego, tak też i w marzeniach sennych niema żadnej cudowności. Cuda pierzchły przed wiedzą, one istnieć mogą tylko w dziedzinie niewiedzy i ciemnoty, a także w dziedzinie obłudy i wyzysku.

Po tych uwagach zwracamy się do snu u ludzi. U nich mamy właściwie dwa rodzaje snu, mianowicie porodniowy i pojadlny, (o śnie hypnotycznym, somnambulicznym, letargicznym etc. mówić tu nie będziemy).

Sen człowieka, powiadają fizjologowie, następuje wtedy, gdy mózg, narząd życia duchowego zawiesza swoje czynności i oddaje się wypoczynkowi, gdyż dla działalności tak wysoko rozwiniętego organu i tak usilnie pracującego, potrzebny jest odpoczynek. Tłumacząc w ten sposób potrzebę snu, popełnia się poniekąd błąd jednostronności, zresztą jest to wniosek „à posteriori“ postawiony; ponieważ mamy sen, więc jest on potrzebny i konieczny; widzimy tutaj taki sam logiczny bieg myśli, jaki służy nałogowym do umotywowania ich brzydkiego nawyknienia: trucia siebie napojami alkoholowymi. „Picie jest konieczne“, powiadają, albowiem wszyst-

kie ludy i narody piją i upijają się. Że sen nie następuje tylko wtedy, gdy mózg jest zmęczony pracą umysłową, mamy najlepszy dowód na idjotach małomózgich, oni śpią dłużej i częściej, niż człowiek normalny, a przecie praca ich mózgu jest stosunkowo daleko mniejszą od pracy mózgu tego ostatniego.

Widzieliśmy poprzednio, że sen u zwierząt jest przyzwyczajeniem dziedzicznem. Loto-pałanka n. p. śpi we dnie snem tak twardym, że jej rozbudzić niepodobna, wilk znowu śpi tak lekko, że go najlżejszy szmer budzi. Człowiek pierwotny szukał bezpiecznego schronienia po jaskiniach, lub jamach podziemnych, układał się do snu, tak, jak to czynią obecnie ptaki, wraz z zachodem słońca, i budził się ze wschodem, spał długo i twardo, stąd też sen nocny, długi stał się przyzwyczajeniem dziedzicznem. Powiadają, że ludzie tak przywykają do pory snu w swej ojczyźnie, że przyjechawszy n. p. z Europy do Ameryki, są senni za dnia, bo wtedy trwa noc w kraju ich rodzinnym. Atoli zmiana warunków życia przekształca w wielu bardzo wypadkach przyzwyczajenie dziedziczne. Któż z nas nie zna ludzi czuwających w nocy, a śpiących we dnie? Miałem kolegę uniwersyteckiego, Zygmunta, syna dr. Karola Kaczkowskiego, który opuszczał łóżko dopiero o trzeciej po południu, a kładł się spać o piątej z rana, nazywaliśmy go z tej racji Amerykaninem. Mieszkańcy miast, szczególniej w Warszawie i Petersburgu, rozpoczynają najczynniejszy okres swego życia, właśnie wtedy, gdy śpią wieśniacy. (C. d. n.)

Dr. Benedykt Dybowski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA

Dmochowski F. S. Krótki zbiór historji polskiej podług najnowszych źródeł historycznych. Warszawa. 1906 8-ka str. 254. Jest to dla najszerszych warstw przeznaczone (cena 40 kop.), nowe, poprawione i uzupełnione spisem chronologicznym wydanie dzieła, którego pierwsza edycja ukazała się jeszcze przed 40-tu laty. Książka ta nie nadaje się — naszem zdaniem — dla młodzieży szkolnej, tylko dla tych, których wyobrażenie o dziejach ojczystych jest jeszcze bardzo pierwotne. Co więcej — należało zmodyfikować znacznie pewne słówko w tytule książki, nie jest ona bowiem ułożona „podług najnowszych źródeł“ i w niejednem różni się z współczesnym stanem badań historycznych. Błędnego wszakże przedstawienia ważniejszych faktów nie zauważyliśmy wcale. *S. Z.*

Hadaczek Karol dr. Złote skarby michałkowskie. Kraków. 1904. Dotychczas nie mieliśmy opisu dokładnego słynnych złotych skarbów, znalezionych w roku 1877, i później w roku 1897, a pochodzących przypuszczalnie z okresu między VIII. a VI. w. przed Chr. Z inicjatywy właściciela większości znaleziska, Muzeum im. Dzieduszyckich, opisał dr. Hadaczek szczegółowo obydwa skarby, opatrując swoją pracę przepysznie wykonanemi 23 tablicami, na których widzimy podobizny odgrzebanych przedmiotów.

Adam Konopnicki: Romantyki. Buczacz. Nakładem i Drukiem drukarni ludowej. Str. 135. Tytuł trafny: „Romantyki“ t. z. twórczość eksplozywna, improwizacyjna, treść wyłącznie uczuciowa. Stąd płyną zalety i wady. Wady: Zakres motywów, jak na dzisiejszego liryka, stanowczo za szczupły i niepogłębiony, — formalnie: Moc obrazów niespoistych, nieorganicznych, jak na przykład: i „smutków rój i żal mój skróć!“ — wypływających znowu z braku zmysłu dla pierwotności języka i z braku artystycznej kontroli czyli autokrytyki. Zalety natomiast wielkie: szczerość rdzenna, rys dziś bardzo rzadki, — t. z. dawanie stanów li przeżytych, a nie codziennych, stąd suggestyjna ich siła, nadewszystko zaś pewien odrębny rytm, bardzo subtelna melodyka wiersza, w ogólnem tempie „andantina“; na „forte“ brak dość mocy. Na ogół mamy w p. Konopnickim liryka nieposzpolitego, godnego dalszej ewolucji, zwłaszcza — w treści. *J. Mirski.*

Lenartowicz Teofil. Żywot starego żołnierza. Kraków. 1905. Jest to nieznany dotąd utwór lirnika mazowieckiego, napisany w r. 1854 w Paryżu. Ogłosił go z rękopisu Biljoteki Jagiellońskiej, oraz opatrzył odpowiednim wstępem i objaśnieniami młody badacz literatury p. A. E. Balicki. Treścią tej gawędy są wspomnienia starego wiarusa z lat 1812, 1846 i 1848, odtworzone w tonie barwnym i poruszającym serce do głębi. Uczucia szczerego w nim wiele, choć za mało może wyobraźni.

Materjały i prace Komisji językowej Akademji Umiejętności w Krakowie. Tom II. Kraków 1905. Jest to wydawnictwo pożyteczne zarówno dla językoznawcy, jak mierze równej dla etnografa. Tom ten zawiera studjum E. Klicha nad językiem białoruskim. Etnografja znajdzie tu bogaty materjał w licznych opowieściach i baśniach fantastycznych ludowych, w piosnkach, zagadkach i przysłowiach, a wszystko objęło 165 stron, t. j. znaczniejszą część książki. W dalszym ciągu mamy słowniczek białoruski oraz parę uwag o fonetyce i morfologji języka tekstów.

Witkowska Helena. Komisja edukacji narodowej. Warszawa 1905. Jest to niewątpliwie jedna z najlepszych prac w naszej literaturze popularnej. Tem większa wdzięczność należy się autorce, że zajęła się przedstawieniem mało szerszym masom znanej, a zasłużonej Komisji edukacyjnej. Godna też jest praca ta, żeby znalazła jak największe rozpowszechnienie i w czytelniach ludowych i w bibljotekach młodzieży szkolnej, bo z niej dowie się młode pokolenie, o ile to lepsze były, o ile wyżej stały szkoły polskie narodowe przed 100 z górą laty od dzisiejszych. Wykład książki jasny, przystępny i co najważniejsza — przedstawienie faktów prawdziwe.

Drukiem W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika l. 5.